

Urodziłem się na wsi koło Wodzisławia Śląskiego. Rodzice dbali o ciepło domowego ogniska. Wychowywali mnie i brata w karności do obowiązujących zasad religijnych. Szkoły podstawową i zawodową kończyłem jako jeden z najlepszych uczniów w klasie. Dostałem się bez egzaminów do Technikum Elektronicznego w Tychach. Rodziców nie było wtedy stać na opłacanie mi internatu, więc poszedłem do pracy, do kopalni. Pracowałem jako elektryk dołowy w tak zwanej "mordkolonie". Tu też odrabiałem wojsko i spłacałem zaciągane pożyczki na remont domu rodzinnego.

Moim hobby była fotografia. Była celem i sensem mojego życia. Pragnąłem tworzyć obrazy światłem, być artystą docenianym i podziwianym. Nie miałem daru malowania, pisania wierszy, rzeźbienia, tworzenia muzyki, ale potrafiłem dostrzegać piękno otaczającego mnie świata. To piękno przekazywałem, fotografując te obrazy. Założyłem własną rodzinę, odnosiłem nawet sukcesy na wielu wystawach, ale okupywałem to też było to okupione znoszeniem kpín, zawiści i zazdrości innych ludzi z branży. Przebywając w środowisku ludzi fotografii, zauważyłem, że nie stronili od alkoholu i drogich papierosów. W domu bywałem gościem. Praca w kopalni i wyjazdy na wystawy pochłaniały dużo czasu. W 1981 roku zginął w wypadku mój brat. Ojciec powiedział wtedy, abym rzucił pracę pod ziemią, bo nie chce stracić i drugiego syna. Na kopalni byłem znany z fotografii o tematyce górniczej. Kopalnia poszukiwała w tym czasie fotografa zakładowego do rejestracji wypadków i obróbki folderów reklamowych z domów wczasowych należących do kopalni.

W tym też czasie zdałem egzaminy w cechu fotograficznym i otworzyłem prywatny zakład "Fotoreportaże". Nareszcie czułem się potrzebny, miałem uznanie i byłem "wolny". Pracowałem wtedy, kiedy miałem na to ochotę. Mogłem na przykład w godzinach pracy wywiesić za szybą zawieszkę o treści "pojechałem po materiał", a w tym czasie opalałem się na żwirowni z dziewczyną pracującą w ciemni. Gdy nadarzała się okazja, zamykałem zakład i piłem alkohol z kopalnianymi malarzami czy też innymi kolesiami z powierzchni, którzy często zachodzili do mnie z butelkami alkoholu. Znałem tysiąc różnych kawałów. Często po pracy były też imprezy, wtedy dzwoniłem do domu, mówiąc, że wypadło mi fotografowanie pogrzebu, urodzin, wizyty krewnych z Niemiec - i dziesiątki przeróżnych kłamstewek. Wracałem do domu późną nocą albo dopiero na drugi dzień. Miałem dbałem jednak w dalszym ciągu o rodzinę: wyremontowałem dom, wybudowałem garaż, budynek gospodarczy, kupiłem nowe meble, samochód, kolorowy telewizor. Pieniądzy rodzinie nie brakowało. Praktykowałem wiarę, chodziłem do spowiedzi, często do różnych spowiedników. Sumienie mnie upominało, ale ja brnąłem coraz bardziej w pijaństwo. Lubiałem towarzystwo, gdzie były też nieznajome mi kobiety. Popróbowałem też narkotyków. Fascynowały mnie horoskopy i wróżby, w myśl zasady "artysta musi wszystkiego spróbować".

W 1989 roku otrzymałem wreszcie upragniony paszport. Najpierw wyjechałem do Niemiec na zbiór truskawek. Otrzymywaliśmy wtedy wynagrodzenie 20-krotnie wyższe niż w Polsce. Za dwa miesiące pracy mogłem w kraju kupić fiata "malucha". Moja rodzina miała pochodzenie niemieckie, więc 1 listopada 1989 roku, po powrocie do domu z grobu ojca, spakowałem walizkę, wziąłem niezbędne dokumenty i z dwoma kolegami jako turyści uciekliśmy do "Rajchu". Rodzina musiała jeszcze pozostać w oczekiwaniu na paszporty. Po zgłoszeniu się do obozu uciekinierów otrzymałem dowód rejestracyjny jako obywatel niemiecki, przydział do landu, gdzie miałem uczyć się języka niemieckiego i czekać na pracę, mieszkanie i rodzinę. Zamieszkałem w Badenii Witenbergii Badenii-Wirtembergii, w małym hotelu kilka kilometrów od miasta Ulm, gdzie dokąd wcześniej rano dojeżdżałem pociągiem do szkoły, a później na douczanie w zawodzie. Otrzymywałem dodatkowo 500 DM na własne potrzeby. Rano była szkoła, a po południu czas na imprezowanie; rodzina była jeszcze daleko w Polsce.

W soboty jeździłem rowerem do odległej o 16 km parafii, aby oczyścić się z grzechów w konfesjonale u polskiego spowiednika. Pewnego razu na przerwie w szkole usłyszałem, jak kolega z Polski rozmawia z Rosjaninem o Jezusie. Zaintrygowała mnie ta rozmowa, podszedłem więc do nich, mówiąc, że też jestem wierzący - i na dowód tego pokazałem im pokaźnych rozmiarów medalik zawieszony na mojej szyi. W odpowiedzi usłyszałem od Marka, że jestem "religijny", a nie wierzący. Zapytał, czy wiem, że jestem grzesznikiem. Odpowiedziałem: "Pewnie, że wiem, i dlatego chodzę do spowiedzi". Marek na to: "To wypowiadaj się Jezusowi ze swoich grzechów i proś Go o przebaczenie, a następnie zaproś Go do swojego serca jako osobistego Zbawiciela". Odpowiedziałem, że zrobię to na następnej mszy. Marek kontynuował: "A czy możesz to uczynić tu i teraz?". Odpowiedziałem trochę zaskoczony, że chyba mogę. Uklęknałem pomiędzy ławkami i zaprosiłem w modlitwie Jezusa do mojego serca - tak jak sugerował mi Marek. Wręczył mi Nowy Testament w języku polskim, mówiąc, że jeżeli chcę poznać mojego Pana, to muszę czytać Nowy Testament.

Od dłuższego czasu tak się utarło, że po powrocie ze szkoły do hotelu, któryś z kumpli szedł do sklepu po wódkę, a następnie, pijąc, oglądaliśmy na wideo filmy, w większości pornograficzne. Tego popołudnia zjadłem szybko obiad i omijając kumpli, wymknąłem się do lasu, gdzie ukryty na ambonie myśliwskiej czytałem otrzymane od Marka Pismo Święte, aż do zapadnięcia zmroku. Rano, jak każdego poprzedniego dnia, byłem w jadłodajni pierwszy. Szybko zjadłem swoje śniadanie, a następnie, jak wcześniej, z widelcem w ręce zabierałem się do tego, aby z talerzy kolegów zbierać lepsze kawałki szynki na przygotowanie sobie kanapek do szkoły - nikt przecież mnie nie widział, w takim przekonaniu robiłem to do tego poranka. Teraz było inaczej - zrobiło mi się jednak wstyd, gdy zamierzałem to uczynić - dała o sobie znać świadomość, ożyło sumienie, odczuwałem obecność Jezusa. Zdałem sobie w tym momencie sprawę, że On mnie przecież zawsze widział, jak mogłem być taki podły?

Spędzanie wolnego czasu popołudniami uległo radykalnej zmianie, zamiast oglądać filmy i pić

alkohol z kolesiami, spotykałem się z Markiem i jego znajomymi na społecznościach i czytaniu Słowa. Parę miesięcy później dojechała do mnie moja rodzina. Oni też przyjęli Pana do swoich serc. Dopiero teraz zrozumiałem, jaką mam wspaniałą żonę, którą dał mi Pan. Ambicje, marzenia nie są złe, kiedy Pan Jezus jest na pierwszym miejscu w życiu - wtedy wszystko inne jest na właściwym miejscu.

Świadectwo pochodzi z książki pt. ["Sens mojego istnienia cz.II"](#)